STRÓJ DAWNYCH NIEWIAST POLSKICH.

WIEK XVI.

Marjanna z Warkowicz Myszczanka, żona Stanisława Radziwiłła Marsz. W. K. Litews.

Szuba sobolowa pokryta ciężką wzorzystą materją jedwabną, rękawy rozcięte u góry z tak zwanemi dziś *krewetami* z białego atłasu. Pod spodem na czarnéj aksamitnéj sukni kołnierz biały atłasowy ze srebrnym haftem; szyję otacza sznur pereł, na piersiach zawieszony złoty łańcuch potrójnym rzędem. Na głowie czapka czarna aksamitna z sobolem.



DEPUTACJA SANDOMIERSKA.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez Juljana Bartoszewicza.

(*Ciąg dalszy*).

Zamyślił się chwilkę Jan Kazimierz i rzekł, cedząc wolno wyrazy przez usta:

— Nie mnie, ale ją kochać byliście powinni. Ona to była dla was w smutnych chwilach opatrznością. Jam tylko narażał siebie osobiście na kule nieprzyjacielskie, ale ona miała ten rozum wielki, że i zapragnęła waszego dobra, że i obmyślała środki i że potrafiłaby gmach wasz od zatracenia ocalić. Bo wam potrzeba reformy, zmiany stosunków społecznych i podstaw saméj wolności waszéj.

To mówiąc, Jan Kazimierz rozpłomieniał natchnieniem, powstał i zaczął się przechodzić niespokojnie po komnacie. Chrapowicki wstał również i słuchał gorących słów królewskich.

— Miłościwy królu, pomożesz nam....

— Nie rań więcéj mojego serca Chrapowicki, zimno mówisz, boś jeszcze nie spojrzał na dno, nie zmierzyłeś całéj okropności waszego upadku.... Ale ja, ja wiem, rzekł głos podnosząc, ja wiem, że się wam na nic nie przydam, ja się wam nie potrafię narzucać. Moja rola skończona... Straciłem najdroższego przyjaciela i coraz okropniéj czuję boleść mojego sieroctwa.

— Miłościwy królu, czas daje radę, przyniesie ulgę tęsknocie, boleść się uśmierzy...

— Jakto? sądziłbyś naprawdę, mój Chrapowicki, zawołał król znów stając przed podkomorzym, że gadam tak sobie od rzeczy i że co innego myślę... Możebyście dla mnie chcieli jeszcze rozpalić weselne pochodnie, tegoby jeszcze nie dostawało! Nasuwano mi już tę myśl; co większa! pokazywano mi nawet portrety, żebym sobie między pięknościami wybierał; zachwalano mi hiszpańską królewną, włoską księżniczkę. Profanacja! profanacja! Mój podkomorzy, wy nawet nie umiecie szanować cudzéj boleści. Śmierć tu czuć jeszcze, a wy mnie już żenicie!...

Dla Chrapowickiego nie były nowe już i te szczegóły, bo o wszystkiém wiedział od ks. referendarza. Starał się więc perswazjami ukoić żałość królewską, lubo sam doskonale pojmował całą niewczesność niemądrze pomyślanych uroczystości weselnych, ale król mu przerwał:

— Nie ciebie, nie podobnych tobie, mój podkomorzy, obwiniam. Czemuż was tak mało w Polsce?

A potém nagle zmieniając treść rozmowy, zapytał:

— Gdzie stanąłeś, mój podkomorzy?

— W kamienicy firlejowskiéj, miłościwy panie, jak zwykle, na Przecznicy. Mam dawne stosunki z Firlejami i raz na zawsze od nich zaproszenie.

— Mój podkomorzy, rzekł król na to, zrób mi tę łaskę, proszę cię serdecznie, Firlejów nie obrazisz a mnie zobowiążesz, przenieś się tutaj do mnie do pałacu. Zapomnę troszkę mojéj boleści, rozerwę się, ks. Małachowski jeden, ty bądź drugi... Miło mi zawsze przestawać z ludźmi, którzy zawsze mnie rozumieją, złéj woli we mnie jak i w ś. p. królowéj małżonce nie upatrują.... Po południu pojedziem odetchnąć wiejskiém powietrzem ku Milanowu, wstąpimy potém do Ujazdowa, co, dobrze?

Chrapowicki skłonił się i w rękę króla pocałował na znak zgody.

— Bądźże tedy łaskaw, powiedz ks. Małachowskiemu, żeś moim gościem. Niechaj cię pomieszczą jak najlepiéj, namów go także do przejażdżki popołudniowéj. Przyszedłeś piechotą tutaj?

— Przyjechałem.

— Gdzież konie?

— Przed pałacem.

— Niechże i konie twoje tutaj pomieszczą. Całego cię biorę z ruchomościami... No, idź mój podkomorzy, rozgość się, a potém zaraz przychodźcie obadwaj do mnie.

Stało się wszystko według rozkazu królewskiego. Jan Kazimierz uszczęśliwiony z gościa swojego, zdawało się odzyskał wrodzoną umysłowi swojemu wesołość.

III.

Nazajutrz było jeszcze bardzo rano, kazał król prosić do siebie gościa, ale nie do komnaty, tylko do ogrodu, po którym się przechadzał. Na marmurowych kolumnach wznosiła się w odległości kilkudziesięciu kroków od pałacu, w ogrodzie górnym, wystawa, pod którą niegdyś królestwo zwykło jadać. Pozłocistą miedzią nakryta, ozdobiona basztą na wierzchu, wewnątrz była cackiem przepychu i dobrego smaku. Sufity ślicznie pomalowane w obrazy mitologiczne, bogate po ścianach obicia, szumne festony pozawieszane po oknach. Dzień był prześliczny. Podwoje od strony Wisły na roscież otwarte, wspaniałym widokiem na Wisłę zachwycały oko: na mil kilka można było widzieć rozciągające się za Wisłą pola i łąki, lasy i wody. Po królowéj rzek polskich pływały liczne szkuty i komiegi, a odgłos wesołych flisów nieraz przynosiło echo aż do pałacu.

Pod wystawą zastał króla Chrapowicki.

— Nie gniewaj się podkomorzy, żem cię prosić kazał tutaj, popsułeś możesobie porządek, odezwał się do niego, ale daruj natręctwu. Rozmowa wczorajsza z tobą była dla mnie balsamem. Ach! możebym i odżył w gronie prawdziwych przyjaciół!...

— Spokojność W. K. Mości darzy mnie radością i nadzieją...

— No i cóż, widziałeś już swego syna? zapytał król, bo ja, przyznam ci się mój podkomorzy, źle wypełniam teraz przyjęte na siebie obowiązki opiekuna, nie mam zupełnie głowy i Krzysztofa twojego dawno już, bardzo dawno nie widziałem; czy go nie posłano czasem do Nieporętu?

— Chłopiec mi gdzieś przepadł, miłościwy królu; niemogę się nawet dopytać o niego.

— O! widzisz! nietylko w Rzpltéj, ale i na moim dworze rozgardjasz, wielki nierząd, wszystko idzie jak samo chce i dokąd chce. No i cóż, żadnego języka? przecież nie przepadł, jak powiadasz?

— Podkomorzy nadworny W. K. Mości nie widział go już od trzech dni...

— A, to bardzo źle! zawołał król z gniewem; jegoż to rzecz utrzymywać ład i karność w moim pałacu; czy tylko czasem nie jakie tu romansowe sprawki? bo słyszę tego pełno teraz i pokojowcy moi rej wodzą po mieście; hulanki, swawola, rozpusta... młodzież dworska strasznie wzięła na kieł, mój gościu, nie dba nic o króla, nie mam posługi jakiéj chcę i nie dowołam się tych, których widzieć pragnę.

Tu król westchnął, zamyślił się i smutnym głosem dokończył:

— Jednéj głowy ubyło i tyle zmiany! taki we wszystkiem upadek....

Widząc że król zwraca się zawsze myślą ku jednemu tylko przedmiotowi, chciał Chrapowicki rozwiać smutne marzenia, pod których ciężarem upadał Jan Kazimierz, i w tym celu nagiął rozmowę do innego przedmiotu; wspomniał mu coś o Litwie, o emulacji rodzin. Zwrot był nagły i niezręczny, król zaraz się na tém poznał.

— Podkomorzy, toż niechcesz, żebym nawet mówił o niéj! Emulacje! emulacje! powiadasz, Połubieński z Radziwiłłem, zazdrości Paców z Sapiehami; toż mnie ma obchodzić? Te nędze wasze, na które ona chciała znaleźć lekarstwo! Otóż wybrałeś przedmiot do rozmowy, żeby nie wspominać o niéj! Nie posądzę ciebie o złą wolę jak innych, którzyby chcieli żebym jéj zapomniał, żebym się z drugą ożenił, ale wierz mi podkomorzy, więcéj ulżę swojemu sercu, kiedy o niéj będę mówić, niż o waszych emulacjach, które serce rozrywają i tém dotkliwiéj dają czuć, coście w niéj stracili. Chciałbym najserdeczniéj widzieć was w potędze i sławie; mój ojciec, mój brat nad wami panowali, po kądzieli wiodę ród mój z Jagiellonów, toż tyle powodów, żebym wam dobrze życzył, żebym was kochał, chociaż dla niéj...

Chrapowicki uspokajał króla, tłomaczył się; Jan Kazimierz chodził po wystawie niespokojny, roztargniony, nie słuchając słów jego, zajęty własnemi myślami.

— Nie chcesz żebym mówił o niéj, a kiedy wszystko bezprzestannie mi ją przypomina; myśl każda, miejsce każde, pałac mój, nawet ten ogród.

Jan Kazimierz umilkł. Korzystając z chwili Chrapowicki zaczął go uspokajać, żeby się z wolą Bożą zgodził, przyczém zręcznie omijając te strony charakteru, które się mu oddawna w królowéj nie podobały, rozszerzał się nad jéj przywiązaniem dla Rzpltéj, nad jéj pobożnością i miłosierdziem. Jan Kazimierz słuchał rozradowany, słówkiem jedném nie przerywając podkomorzemu. Ale gdy już za dużo było tych pochwał, przerwał mu nagle:

— Miała nieprzyjaciół za życia, mój podkomorzy, miała ich wielu, to prawda, wszyscy którzy nie pojmowali jéj, téj wielkiéj niewiasty, wszyscy których widoki polityczne były odmienne, nie mogli jéj darować wyższości i rozumu, to dobrze, to jeszcze do pojęcia... W życiu muszą grać rolę namiętności, a raz w prąd porwane, zaślepiają się, nie widzą jasno i zdrowo. No, niechże sobie stronnicy pana Lubomirskiego, wierz mi, najwinniejszego swawolnika, niechże sobie oni patrzą na królowę bokiem.... Po śmierci, i sam to mówiłeś, i po chrześcjańsku tak jest, powinnyby namiętności umilknąć. Czemuż jéj ta zawiść, ten nierząd wasz, który gubi Rzplitę, czemuż i po śmierci nie daje królowéj spokoju?

— Sądzę miłościwy królu, że tylko serce wasze zatrwożone jest dawnemi obrazami. A gdzieżby kto teraz ubliżał ś. p. królowéj, nawet jéj osobisty za życia nieprzyjaciel...

— No! widzisz, mój podkomorzy, przerwał mu król z żywością, jak nie znacie całéj okropności waszego upadku! Szczerości prostéj człowiek, nie domyślasz się nawet, jak u was przebaczyć nie potrafią za grobem. Umarł pan Lubomirski i niedługo po nim jak wiesz, kolega jego hetman wielki, Rewera. Aliści zaraz puszczono złośliwy żart po świecie, że królowa Ludwika, jako pierwsza głowa owych wszystkich fakcji kondeuszowskich, potrzebowała na wjazd swój do nieba świetnéj assystencji i zaprosiła ze sobą obydwu hetmanów. Uważasz jaka to złośliwość!

— I po co W. K. Mości donoszą o tych babskich plotkach, jeżeli są jakie. Plotki zawsze plotkami i kto się od nich, by największy, wybiega?

— Po co donoszą? pytasz się podkomorzy, mówił król, umyślnie mi donoszą, żeby mnie zmartwić, dogryźć, żeby mnie ukłóć po czasie, żeby mnie przekonać o tém, o czém nie myślałem nigdy, Bóg świadkiem! Otom razem z królową był gnębicielem wolności waszych! Wiesz, że nie lubię prymasa, mam dla niego wstręt, bo ten człowiek chytry może zepsuł zbawienne dzieło i królowę skłócił tak mocno ze szlachtą; Marja Ludwika za wiele mu wierzyła i lepiejby wyszła, gdyby trzymała się swojego natchnienia, jak tego księdza, którego nikt nie zbada co ma w głowie. Arcybiskup mi te wieści sam znosi i ma w tem cel, prawiebym przysiągł na to.... Wszyscybyście pozbyć się mnie chcieli....

— Sądziłbym, że to uprzedzenie, miłościwy królu; nie chwalę tego księdzu prymasowi, że pogadanki ludzkie donosi aż do tronu, ale z drugiéj strony, miłościwy pan nasz nie wiele robić sobie z nich powinien.

— Kiedyż bo w tém wszystkiem jest złośliwość! Za życia dokuczaliście jéj nienawiścią, po śmierci mścicie się na niéj ostrém słowem. Pogadanki! pogadanki! Ale te pogadanki ludzkie mają swoje znaczenie, uparte są, dotykają osób żyjących. Sam ks. Prażmowski otrzymał paszkwil, w którym wyrażono chęć, żeby do orszaku królowéj należał przy wjeździe do nieba, bo dla zupełnéj uroczystości nie dostaje tylko „najwierniejszego fakcji pomocnika.“ Te pogadanki muszą być bardzo rozpowszechnione, kiedy ich prymas przedemną nie skrywa, bo o tym nowym paszkwilu wiemy znów od niego samego. Jakto, będąc w Warszawie od dni kilku, jeszczebyś nic o tém nie słyszał? To niepodobna. Każda baba pod kościołem wié o tych paszkwilach piszą wota, mowy, głosy, wierszują... Wszystkim nieszczęściom Rzpltéj winna królowa!...

— Zbyt do serca bierzesz, miłościwy panie,

te, nie powiem nigdy, żeby opinji ogólnéj oznaki.... Ludzie zawsze jak ludzie, jedni śmieją się z cudzéj niedoli, drudzy płaczą kiedy powodzi się bliźniemu. Nie jest tu nawet zawsze w grze dobre lub złe serce, ale zwyczajnie natura ułomna.... Potrzebaż na to zważać? Z drugiéj strony, nie odbierasz że miłościwy królu licznych dowodów, że twoje nieszczęście rodzinne dotknęło Rzpltę? Nie proste spółczucie nad twojém sieroctwem, ale coś więcéj, żal z powodu śmierci królowéj jest powszechny, czują nawet i ci, którzy przeciw niéj powstawali, ile Rzplta straciła, oceniają jéj prace i zasługi. Tyle już było deputacji z różnych województw ze spółubolewaniem....

— A tak, masz prawdę po sobie, wiele było tych deputacji, odpowiedział król i o jednéj najnowszéj dowiedziałem się jeszcze dzisiaj. Przyjechało województwo sandomierskie płakać nad mojém opuszczeniem i wiesz kogo mi przysłało? Sławnego zaiste męża, bo kto go nie zna w Rzpltéj, pana Dębickiego.... Czy znasz go osobiście, mój podkomorzy?

— Nie znam, miłościwy panie.

— Żałuj, sto razy żałuj.... warto znać osobiście takich ludzi; no, ale to mniejsza, znasz go ze sławy. To wielki obrońca wolności waszych, na każdym sejmie gadał przeciw królowéj; nie dosyć na tém, jeździł na wszystkie zjazdy, uczty, zgromadzenia i odpusty, a wszędzie gadał. Toż wierzyćby jemu, wolność wasza nie była nigdy w takich opałach, jak za tych smutnych dni, w których mu się sandomierskim chorążym być wydarzyło. Oj! ten pan Dębicki! Tacy bohaterowie prywaty wszystko wam psują, kilku niech takich będzie, a zakrzyczą Rzpltę, poprowadzą ją na krzywe drogi, nie dadzą się opamiętać zacności. Samuel Zborowski, Djabeł Stadnicki, pan Siciński byli takiemi bohaterami. Dębicki sto razy serce mi zakrwawił od czasu owego nieszczęśliwego a pamiętnego mi zawsze dnia pod Beresteczkiem. Kiedy czas było ścigać nieprzyjaciela pobitego, pan chorąży zbuntował szlachtę na polu, dowodząc jéj, że król myśli o pohamowaniu wolności, a samby rękę podał do téj roboty, gdyby król myślał go uścisnąć, gdyby starostwem jakiém, dzierżawą, po prostu najął go przeciw wolności. Surowe są słowa moje, ale prawdziwe, i zobaczysz, przyjdzie czas mój podkomorzy, że Dębicki będzie historyczną postacią, sławniejszą od niejednego z hetmanów i marszałków, ale postacią na którą potomstwo wyleje całe morze złorzeczeń.

Zatrzymał się król przed Chrapowickim i zmieniwszy ton mowy gniewny na żartobliwy, dodał:

— Pan chorąży Dębicki na czele deputacji sandomierskiéj! Wróg królowéj, żeby pocieszyć króla po jéj śmierci! Jakaż ironja losu! I czemu ten człowiek niedaje mi jeszcze spokoju? Przyjechali, przyjąć ich trzeba i dziś wieczorem będą mieli posłuchanie, ale co mnie to kosztuje! Radbym wielką ofiarą uwolnić się od téj przyjemności. Nie idzie tu o sandomierzan, ale o tego pana chorążego.... Czybyś mój podkomorzy nie wiedział jakiego sposobu?

— W. K. Mość, odpowiedział Chrapowicki, nie potrzebujesz mieć do czynienia z chorążym, ale z deputacją...

— Oczywiście, mój podkomorzy, ale jakby to pięknie było, żeby, niechrześcjańska to wprawdzie myśl, żeby pan chorąży zachorował i nie stawił się z deputacją.

— Na to poradzić trudno....

— Przynajmniéj, mój podkomorzy, nie opuszczaj mnie, dziś wieczorem przyjdą, wyznaczyłem im godzinę, bądź gospodarzem za mnie, przyjmuj ich, bądź na posłuchaniu, chciałbym się zamknąć w zwykłych grzecznościach i słówka nie powiem, jak mi będziesz towarzyszył. Inaczéj, możebym się z czém niepotrzebnie wymówił... Przed tobą nie mam nic skrytego, ale przed nim, przed chorążym! Potém ich ugościsz u mojego stołu, kiedy ja się oddalę do swojéj komnaty, na samotność. Nie darmo powiedziano, że król u was jest szafarzem dla szlachty. Cóż, czy przystajesz?

— Jak najchętniéj, miłościwy królu.

— Chciałbym jak najkrócéj zbyć te uciążliwe ceremonje, wytłomaczysz mnie, zasłonisz...

— Stanie się zadosyć woli W. K. Mości.

— Kiedy więc udała się jedna prośba, będzie i druga. Czy spełnisz i tę drugą, podkomorzy?

— W. K. Mość wié, że spełniam zawsze i z dobrą wolą wszystkie rozkazy W. K. Mości...

— Mówiłeś mi, że w tych dniach musisz być u Jasnéj Góry. Jedźże mój kochany i wracaj, bo za miesiąc pojedziesz ze mną do Krakowa na pogrzeb królowéj. Czy dobrze? Zabawisz tak długo na Mazowszu, żebyś mógł mi towarzyszyć przy tym smutnym obrzędzie? Może cię na Litwę wołają sprawy jakie?

— Miłościwy królu, przybyłem umyślnie rzucając wszystko, by W. K. Mość pocieszyć w zmartwieniu i oddać zmarłéj pani naszéj ostatnią posługę chrześcjańską. Pojechałbym do Krakowa i nie wezwany, témbardziéj pojadę, kiedy jest takie życzenie pana mego miłościwego.

Król uścisnął podkomorzego.

— Będę cię prosił, żebyś się zajął w Warszawie tém wszystkiém, co potrzeba będzie dla smutnéj uroczystości. Chciałbym żeby odbyło się wszystko okazale i bardzo smutno, według wielkości straty i według mojéj boleści. Ta ostatnia posługa niechaj świadczy o wielkiém mojém dla niéj przywiązaniu. Zaproszę na pogrzeb wszystkich moich przyjaciół, bo jeżeli się zjadą ciekawi, będę przynajmniéj wśród swoich. W obecnéj chwili też

nie mam innych pragnień, innego zajęcia. A kiedy się wypłacę, kiedy ostatnie śpiewy i odgłos dzwonów przebrzmi ponad królewską mogiłą wtedy....

— Wtedy co? miłościwy królu, zapytał się z pośpiechem Chrapowicki, którego serce zabiło drogą nadzieją, że król wspólnie z narodem weźmie się do odbudowania Rzpltéj.

— Wtedy, odparł król, podkomorzy, odkryję ci myśl, z którą nie wydawałem się jeszcze przed nikim, nawet przed ks Olszowskim, którego tutaj niema, ani przed ks. Małachowskim, który poczciwie na krok mnie nie odstępuje. Wtedy.... podkomorzy lękam się nawet i przed tobą to powiedzieć, z obawy tą razą już o moją wolność, któréj nie poszanujecie może...

— W. K. Mość mnie przeraża, po takim wstępie usłyszę coś niespodzianego.

— Wtedy, złożę koronę.

Chrapowicki struchlał na te słowa. Łza zrosiła mu powieki, do ręki królowi przypadł, ale król odsuwając go z lekka:

To moje niezmienne, nieodwołalne postanowienie. Gotowem oprzeć się wszelkim waszym groźbom i krzykom. Złożę koronę i udam się na samotność, żeby się modlić za was....

Chrapowicki płacząc zaklinał króla, sądził że niedosłyszał, cios był za zbyt nagły i straszny. Ale Jan Kazimierz wziął go za rękę, uspokajał, obiecywał, sam płakał ale słowa nie cofał.

— Pytaj się Des Noyersa, mówił podkomorzemu, taka była ostatnia jéj wola, żebym złożył koronę.

IV.

Tego samego dnia po południu, ks. Małachowski z Chrapowickim smutnie rozmawiali o niespodzianém postanowieniu królewskiem. Referendarz jak podkomorzy nie chciał niczemu z początku wierzyć, ale się mocno zadziwił, skoro zapewnił go podkomorzy, że o ile zmiarkował, postanowienie było nieodwołalne. Uradzili obadwaj przyjaciele, żeby tajemnicy ściśle przestrzegać i zwierzyć się z nią ledwie kilku innym senatorom dla przestrogi, na króla nie nastawać, uważali albowiem, że daleko będzie właściwiej uspokoić pana w ten sposób. Zadrżeli obadwaj przed myślą, że za chwilę czekać będzie Rzpltę bezkrólewie przy ks. Prażmowskim i nieuśpionych zabiegach stronnictwa francuzkiego. Owszem, domyślali się, i mieli potemu niepłonne poszlaki, że dla rozszerzenia tym zabiegom pola, chciał Jan Kazimierz składać koronę, skazówką czego było i ostatnie słowo królewskie, wyrzeczone w rozmowie do Chrapowickiego, że spełnia tylko wolę Marji Ludwiki.

— Jabym rzekł, robił tę uwagę ks. referendarz, że ks. arcybiskupowi chce się koniecznie prymasować. Teraz się nie boi Lubomirskiego, a kiedy go zmógł w sądach sejmowych, wszyscyśmy słyszeli jak wołał: „teraz choćby djabła obierzemy jak zechcem.“ To widać ks. arcybiskupa sztuka. Teraz na jaw wychodzą owe tajne posłuchania, narzucania się, porady. Serce mi drży z obawy, ale bodajbym nie zgadł, że czekają nas okropniejsze jeszcze przejścia jak z Lubomirskim...

— Masz słuszność księże referendarzu, odparł Chrapowicki, tak być musi. Piérwsze wrażenie zawsze mocno utkwi w głowie królowi, że łatwo go się nie pozbędzie, perswazja jeszcze więcéj ten upór ośmiela. Niechaj kto zręcznie podsunie mu myśl jaką, słówko, a wtedy łatwo piérwszemu lepszemu drażniąc króla, zrobić z nim co zechce...

— Już to trudów panowania nigdy król nie lubił, wtrącił referendarz; Marja Ludwika rządziła w istocie Rzpltą; dzisiaj spadł na króla ciężar i lęka się, bo do pracy, oprócz do obozowéj nie nawykł. Natura to nie dla szerokiéj ambicji, nie dla rozkazywania. Straszna pewność przeraża mnie, ale kiedy zimniejszą myślą mierzę sprawy i okoliczności, wciąż się przekonywam, że to postanowienie jest naturalne. Ksiądz Prażmowski umiał, jeżeli to on, uchwycić stosowną chwilę. Dać królowi dochody na utrzymanie świetności dworu, a zrzekłby się tronu i dawniéj...

— Dziwna wola téj, w każdym razie niepospolitéj niewiasty, mówił Chrapowicki. Bo zgadzam się z tobą ks. referendarzu, że jesteśmy obecni rozwijaniu się dalszego ciągu zabiegów elekcyjnych.

— Prymasowi, mówił Małachowski, pomogą całym wpływem swoim, marszałek Sobieski, który się z kretesem zaprzedał Francji, a więcéj pani marszałkowa, prawdziwe ziółko, pomoże kolega mój, referendarz Morsztyn, człowiek niesłychanie zręczny, do wykonania ich wyroków, posłuży pan kasztelan poznański Grzymultowski. Ks. arcybiskup ma także braci rodzonych.

— W każdym razie i w tém przywiązaniu króla do zmarłéj małżonki, jest coś niepojętego, księże referendarzu, mówił Chrapowicki. Ciągle o niéj tylko rozprawia, o niczém tylko o niéj, żeby niewiadomo jaką zacząć z nim rozmowę, zawsze do swojego przedmiotu nawróci. Ile pamiętam, król więcéj się obawiał swojéj małżonki, jak ją kochał; olśniła go swoją jasnością.

— Zmarłéj pani naszéj, rzekł na to referendarz, główną namiętnością była żądza panowania i rzeczywiście naraziła się panu tak królowa, że czuł nad sobą jarzmo, a zwalczyć go nie mógł. Na ostatnim sejmie po całych dniach i nocach siedziała za kratką w izbie senatorskiéj, żeby mieć oko na swoich stronników. Skarb swój wyniszczyła, zdrowie nadwerężyła, a celu nie dopięła. Opowiem ci podkomorzy rzecz istotnie zabawną, która ci dowiedzie, że się nie mylisz w swoim poglądzie.

— Ciekawym bardzo.

— Królowa już w poście zaczęła mocniéj niedomagać, ale przyzwyczajeni do tego, niewieleśmy się troszczyli, nie przewidywaliśmy katastrofy. W poniedziałek po Wielkiéj Nocy były przenosiny podskarbicza koronnego Krasińskiego, który się ożenił z Chodkiewiczówną, do pałacu koniuszego Lubomirskiego. Byliśmy tam wszyscy z dworu proszeni, był król, królowa tylko została w łożu. Król na fantazję troszkę się napił i był bardzo wesoły, zbywał jak mógł swego móla, który mu głowę nieustannie suszył. Tańczył noc całą do upadłego, jakby go żadna troska nie dobodła.

— W szczęściu czy w nieszczęściu zawsze jednakowy, wtrącił słówko podkomorzy.

— Otóż zapomniawszy się, dziwnie był żartobliwy. Na podskarbicza wołał: „gospodarzu czyń przynukę żołnierzom, bądź im rad, niech pamiętają twoją ochotę,“ i wskazywał ręką na żołnierzy i ludzi dworskich, którym znowu półgłosem domawiał: „pijcie u skąpca, nie żałujcie go.“ Jakoż wszyscy się bardzo rozhulali. Wtém przybiega goniec z zamku i daje znać panu, że królowa ma się bardzo nie dobrze. „Nie będzie jéj nic,“ zawołał głośno. W godzinę późniéj przypada pokojowiec strwożony z doniesieniem, że królowa kona. Ale król uderzył go w gębę, mówiąc: „nie powiadaj mi plotek, kiedym wesół.“ Tośmy wszyscy słyszeli.

— I tejże nocy królowa umarła?

— Nie, późniéj cokolwiek, ale w zamku sądzili wszyscy, że to już koniec...

— Jeżeli to nie rozdraźnienie chwilowe króla, wiesz co księże referendarzu, mówił Chrapowicki, kombinuję okoliczności i uważam, że domysł waszsłuszny, może widzimy to, co oddawna było przygotowane.

— Zobaczym, toć król, jeżeli to nie rozdraźnienie, kiedy się przed wami podkomorzy, z tajną chęcią swoją wynurzył, nie miałby potrzeby ukrywać jéj i przed Rzpltą.

Tak rozmawiali długo jeszcze dwaj przyjaciele niespokojni o przyszłość kraju.

(*d. c. n.*)

KALWARJA ZEBRZYDOWSKA

W Galicji, w obwodzie Wadowskim.

— Trudno, trzeba stanąć, nie przejdziesz! jeśliś obcy, a nie wiész o sławnym na całą Galicję kalwaryjskim odpuście, to się niepomału zdziwisz, gdy gościniec gdyby ruchome panorama rozwija się przed tobą i za tobą, cały zasłany tłumami śpiewającego ludu, co niby rzeka płynie od starego grodu do świętéj Kalwarji, wzrastając ciągle napływem z dróg i ścieżek. Co chwila stajesz, drużyny z krzyżami i chorągwiami w coraz rozmaitszych stronach mijają bryczkę. Droga przedłużyła się kilku godzinami, przecież szczyty bernardyńskiego klasztoru wychyliły się z za góry; rzesze u celu na widok wież kościelnych z religijném uniesieniem upadają na ziemię; a prawie niepodobna nie podzielić wspólnéj modlitwy. Kto nie widział tego zachwycenia z jakiém tysiące ludu upada na kolana na widok krzyżów, do których o 50 i więcéj mil prowadzi go Wiara w pobożnéj pielgrzymce; kto nie widział téj radości jaka ożywia rzesze zbliżające się do stóp góry kalwaryjskiéj, trudno by nie poczytał opisu mego za owoc przesadnéj i chorobliwéj egzaltacji. Chyba w Hiszpanji lub we Włoszech spotkać się można z widokiem, coby na tak wielką skalę mógł przedstawić religijne zachwycenie.

Równinę co się rozłożyła w pięknéj okolicy, między górą uwieńczoną ruinami lanckorońskiéj warowni, a wysoko wśród boru wzniesioną kalwaryjską świątynią, zaległo przeszło 60,000 ludu. Od klasztoru po dróżkach napełnionych kapliczkami, z chorągwiami, krzyżami i wieńcami, chustkami na długich łykach (dla poznania się nawzajem), w różnych kierunkach przebiega, aż do podnóża góry lanckorońskiéj tysiące drużyn pielgrzymów, odprawiając nabożeństwo. Prawie wszelką mową jaka brzmi na ziemiach sławiańskich, płyną pieśni ku cudownemu obrazowi Marji, każdy nieledwo strój mieszkańców Austrji przesunie ci się przed oczy w téj ogromnéj panoramie: szlązacy, morawianie, czechy, rusini, górale, mazury, krakowiaki, spiżanie, węgry i niemcy, różnobarwną rzeszę w ruchliwym obrazie rozsuwają przed tobą. Gdyby zdolny pędzel lub pióro podniosło się do odmalowania tego tysiąca rzewnych i religijnych scen, tego mnóstwa estetycznych grup i malowniczych ułożeń, ileż pięknych a swojskich i prawdziwych powstałoby obrazów!

Z każdym prawie odpustem kalwaryjskim połączone jest jakowe religijne plastyczne przedstawienie. I teraz, dwa dni przed świętém Wniebowzięcia Matki Boskiéj, od południa, rozpoczyna się pochód ze zmarłą Marją do Jéj grobu. Procesja ciągnie do kościoła Grobu Matki Boskiéj, zapełniając całą blizko półmilową przestrzeń między obiema górami, przy każdéj kapliczce stają rzesze słuchając

kazania. Szlązacy i szlązaczki otoczeni bractwami religijnemi i mnóstwem duchowieństwa niosą trumnę, w której złożona woskowa statua Marji. O wieczornéj już gwiazdzie cały orszak zbliża się po półdniowym pochodzie do kościoła Grobu. Płacz sześćdziesięciu tysięcy ludu, łkanie i jęk w czasie złożenia Bogarodzicy do podziemnego sklepu, jest tak wrażliwym, że patrzący nie umié sobie zdać sprawy z uczucia jakie go przejmuje. Rzesze przez noc zostają przy grobie, na milowéj przestrzeni na polach i w lasach płoną obozowe ogniska, śpiewy nabożne przerywają ciszę pogodnéj nocy, a księżyc oświeca ten najcudniejszy widok zamknięty w ramy dwóch malowniczych gór lanckorońskich ruin i kalwaryjskiego klasztoru. Drugi dzień poświęcony obchodzeniu dróżek; trzeciego dopiéro dnia przy muzyce i w pełnéj wesołości, odbywa się processja od grobu do klasztoru ze statuą, niby zmartwychwstałéj, do nieba już wziętéj Marji. Wieczorem tego samego dnia nie poznasz się już z widokiem okolicy. Pustelny klasztor Bernardynów stoi samotnie wśród góry otoczony głuchym borem; na szerokich polach i łąkach żółta wydeptana ziemia, wskazuje ci tylko ślady, gdzie zniknęły drużyny pielgrzymie, a zdala z za pagórków przynosi jeszcze echo odgłos daleki pobożnego śpiewu, którym pątnicy żegnają widok świątyni. I cisza na kalwaryjskiéj górce, jako w sumieniu co je balsam wiary ukoi, a modlitwa spokojem obdarzy. Kramarz tylko wiozący resztki towaru, niby pokusa z kościoła, umyka gościncem z dobrą miną do domu; a dziad szepcząc pacierze, jako pajęczynę jesienną dzierzga od figury do figury modlitwę i rozwlekły monotonny śpiew co jak dalekie echo dzwonu, błąka się po odpuście w szerokiéj okolicy. I cisza na górze ukrzyżowania; wspomnienie tylko niby mgła osiadło przy pustelni Zebrzydowskiego, gdzie już od półtrzecia wieku pokuta obrała sobie mieszkanie. W wielki czwartek widziałem przed kaplicą ratusza obchód zwany *Kilofe*. Dość obszerny budynek jakby w bizantyńskim wzniesiony smaku, otaczały cisnące się natłokiem gromady pielgrzymów i cały lud okoliczny. Rozpoczął się obrzęd kazaniem, tłumaczącém rzeszom treść aktu odczytania Chrystusowi wyroku śmierci. Wśród uroczystéj ciszy, czterykroć z ganku otaczającego czworobok ozwała się straszna, chrapliwa trąba i czterykroć ogromny głos rozległ się po polach i borach: „*Kilofe! kilofe!*“ co ma znaczyć: „Zbiegajcie się!“ Na ganku, przed kamienną figurą związanego Chrystusa, ukazała się postać w czerwone strojna szaty i donośnym głosem z całą urzędową powagą i ceremonją, odczytano dosłownie po polsku tłumaczony wyrok, wskazujący Chrystusa na śmierć. Gdyby mi kto opowiadał, że podobna jakby teatralna scena może mieć miejsce między obrzędami religijnemi, szczerze powiem: rzekłbym, że uwłacza świętości wiary. Gdym jednak usłyszał trąbę zwołującą lud na wyrok ukrzyżowania, gdy jęki tysiące ludu i łkania rozległy się wśród gór i lasów bijąc ku niebu, gdy wreszcie odgłos rozstrojonego bębna, stukanie toporów obrabiających krzyż i szczęk straży biegnącéj z rzymskim sztandarem, dźwiękami śmierci zaszemrały wśród ludu, prawdziwie, dreszcz przeszedł po kościach i oddychałem jerozolimskiém powietrzem. Śmiało dziś sądzę, że obrzęd taki więcéj w tysiącach serc wieśniaczego ludu, wznieci szczeréj skruchy, niżbyś dokazał najwymowniejszém kazaniem. Gdzie dusza uśpiona, tam tylko przez ciało trafić można do serca. Ujęła mię dobroduszność wieśniaków, gdy mi powiedziano: że czytanie wyroku Chrystusowi uprzywilejowane jest w rodzinie chłopskiéj ze wsi Bugaju, a idącemu na spełnienie owego aktu, gromady zastępują drogę pragnąc go upoić, aby przez to opóźnić wyrok i przedłużyć Chrystusowi godziny żywota; woźny jednak tradycyjnie jest trzeźwym dnia tego.

W Kalwarji przed kilku laty obchodzono więcéj podobnych obrzędów, powoli jednak ustają te zwyczaje.

W Wielką sobotę byłem tu znów świadkiem obchodu, który mię do głębi duszy przejął swém estetyczném a wzniosłém przedstawieniem.

Świątynia Marji kalwaryjskiéj wznosi się w połowie wysokości góry Żar, a u jéj wierzchołka, na brzegu ponurego boru, stoi kapliczka ciosowa Grobu Chrystusa. Gdy tedy słońce utonęło za góry, a pogodna noc osnuła niebo gwiazdami, wśród ciszy uśpionéj okolicy, z boru od grobu Chrystusa rozległ się głos: „Alleluja“ a jednocześnie błysło światło mnóstwa pochodni, i przy odgłosie muzyki, orszak mnichów, otoczony milicją odpustową (z godłami Marji na kaskach), z zmartwychpowstałym Chrystusem, spuszczał się z wierzchołka góry do świątyni. Cisza nocy, blask pochodni, Alleluja, jakby śpiew zwiastujący światu odrodzenie wiosny i błogosławieństwo na pola, daleki odgłos muzyki, a to wszystko na tle boru i zawieszone jakby między niebem a ziemią, u spodu góry modlące się rzesze, na widok świateł zmartwychwstania wieśniacy klękający u progów swych chat; zaiste widok, któremu trudno podołać piórem, pędzlem, mową; ale uczuć go tylko można, klęknąwszy w tę chwilę u stóp góry kalwarjiskiéj.

Historja na tle całéj téj okolicy narysowała najwyraźniéj postać wojewody krakowskiego, marszałka koronnego Mikołaja Zebrzydowskiego. W XIII wieku tylko bór głuchy zalega szeroko, daleko, całe pobrzeże Skawinki, w XIV powstaje na górze w środku lasu rozbójniczy Berwałd, a w dolinie dzwonki z wież drewnianych kościołków poczynają zwoływać lud na modlitwę; na przeciwnéj górze, Kazimierz W. wznosi zamek lanckoroński i osadza pod nim niemieckich mieszczan. Warownia lanckorońska staje się siedzibą braci z Brzezia, herbu

Zadora, a później poczyna tworzyć starostwo niegrodowe. Kazimierz Jagiellończyk zakupuje księstwo Oświecimskie łącząc je z koroną, a wtedy z rozkazu jego Jakób Dembiński burzy (1477) mury berwałdzkiego zameczyska, co od wieków był przytułkiem zbrodni i zdrady.

W końcu XVI wieku z lanckorońskiego zamku wychyla się postać Zebrzydowskiego. Roku 1595 ku wiośnie Zebrzydowski smutny, zadumany, mierzonemi kroki przechadzał się po szerokich komnatach lanckorońskiego grodu. U okna siedziała Dorota z Fulsztynów Herburtowna małżonka Zebrzydowskiego. Pogodny już prawie wiosenny dzień chylił się ku zachodowi, w około ciemniały bory, gdyby czarne chmury porzucone na ziemię, a niebo jaśniało ostatkiem światła zachodzącego słońca. Ziemia temu kto się wyprze nieba. Zebrzydowski też jakieś czarne myśli wodził po głowie, a patrzał ponuro w różnokształtnie ciosaną posadzkę; bogobojna małżonka patrzała w niebo, bo ono było jej celem i myślą. Cichy dzwonek małego kościołka we wsi Zebrzydowicach począł szeptać na Anioł Pański a dźwięk jego dolatywał do zbrojnych baszt zameczyska. Nagle, Zebrzydowska powstała, przechyliła się za okno, wytężając źrenicę, gdzieś za ciemne bory: mąż też niby przebudzonym szmerem, spojrzał ku oknu. Oboje ujrzeli nad górą Żarek jaśniejące krzyże; uklękli na wieczorną modlitwę, a jasność i krzyże, z ostatnim promieniem konającego słońca zniknęły im z przed oczu. W téj chwili zrodziła się w duszy Zebrzydowskiego myśl wzniesienia świątyni na przeciwnéj zamkowi górze, w miejscu gdzie jasność ujrzeli. Sprzyjały też pomysłowi okoliczności. Właśnie stary Zebrzydowskiego dworzanin Hieronim Strzała wybierał się do Jeruzalem na świętą pielgrzymkę. Prosił go więc Zebrzydowski aby mu przywiózł wzory kaplic jerozolimskiéj Kalwarji. Zanim wrócił pielgrzym, Zebrzydowscy wystawili na górze Żarek skromną kaplicę; postawili trzy czerwono barwione krzyże. W kapliczce owéj wśród boru, kapelan zamkowy odprawiał nabożeństwa.

Niebawem wrócił (w r. 1597) Strzała i przywiózł z sobą w tekach drewnianych, wzory kaplic Jerozolimskich z gipsu lub też jakowejś gliny wyrobione. Rączo jął się Zebrzydowski dzieła. R. 1600 4go Października położył fundamenta budowy kaplicy św. Krzyża, a za rok, w początku jesieni kaplica stanęła. W świątyni téj były dwa ołtarze: Zawieszenie na krzyżu i Podniesienie krzyża. Natychmiast po ukończeniu zaprosił Zebrzydowski Bernarda Maciejowskiego biskupa krakowskiego, Klaudjusza Rangoniego posła papieskiego i mnóstwo znamienitych panów i duchowieństwa na obrzęd poświęcenia. Tak więc stanęły w pierwszych latach XVII wieku główne świątynie kalwaryjskie, a w Zebrzydowicach hojność wojewody wzniosła szpital dla żołnierzy pod opieką zakonu. Tymczasem burza rokoszu tutaj głuchym rozpoczęła się grzmotem, zapowiadając krajowi nieszczęście. 6 lipca 1607 r. zastępy Zebrzydowskiego rozproszone pod Guzowem, zamek Lanckoroński wzięty szturmem przez wojska królewskie. Zebrzydowski rzuca szablę, a z krzyżem w ręku i w bernadyńskim habicie przemieszkiwa w pustelni św. Magdaleny i stawia Panu ołtarze; wreszcie 1620 r. składa głowę w grobie katedry krakowskiéj, a syn Jan, miecznik koronny, buduje daléj kaplice kalwaryjskie. W późniejszych czasach Lanckorona staje się znów widownią mordu i pożogi, kiedy



Kalwarja Zebrzydowska.

r. 1655 dowódzca załogi Jakób Wilkoński, straciwszy nadzieję obrony, oddaje zamek szwedom. Roku 1768 Beniowski zdobywa Lanckoronę, a 1769 r Kazimierz Puławski po krwawej rozprawie obchodzi tu zwycięztwo kazaniem ks. Marka, wreszcie w 1772 r. tutaj kończy się ostatnia scena z dziejów dawnéj Polski.....

Po Zebrzydowskich Kalwarja przeszła dziedzictwem do rodziny książąt Czartoryskich, linji Klewańskiéj, i ci przyczyniali się jeszcze do budowy kaplic i klasztoru. Dziś wśród ślicznego krajobrazu widzisz ruiny Lanckorony, szczątki Berwałdu i zwaliska ogromnego pałacu Czartoryskich, tylko świątynie kalwarjiskie stoją cało, przetrwawszy wieki, jako dzieło pokory; ukazując, że potrzebna tam pokuta, gdzie leżą w gruzach przybytki dumy i siły.

Kaplice na drożkach dzielą się na należące do obchodu Męki Chrystusa i do uroczystości i nabożeństw N. M. Panny, razem co do liczby jest ich 41; między niemi niektóre wielkie jak kościoły, a wiele odznacza się pięknem położeniem, ciekawym wschodnim stylem budowy, lub też poezją, jak ów marmurowy krzyż na drożkach, gdzie z ran Chrystusa wybiegały kropliste fontanny chłodząc zgromadzone pod nim rzesze. Pod względem architektury na szczególną uwagę zasługuje kościół Grobu Matki Boskiéj; w kaplicy zaś ukrzyżowania, podziwiają ogromne obrazy pędzla ks. bernardyna Franciszka Leksyckiego: „Przybicie Chrystusa do krzyża,“ „Chrystus na krzyżu“ i „Zdjęcie z krzyża.“ W samym kościele kalwaryjskim prócz srebnéj statuy Matki Boskiéj, przywiezionéj z Rzymu (r. 1590), portretów fundatorów, przełożonych zakonu, ministrów i jenerałów bernardyńskich (pędzla Jana Zamojskiego); prócz stacji malowanych przez zakonnika Kaspra Szybala, bibljoteki którą zdobi kronika kalwaryjska (prowadzona od r. 1612 do 1759), godne jeszcze uwagi: dwa obrazy włoskiego pędzla przedstawiające: św. Magdalenę i św. Franciszka. Kościół N. M. Panny odnowiono teraz wielkim kosztem, a p. Franciszek Niedźwiecki pokrył ściany malowaniem. Okolica i estetyczne grupy kaplic zwróciły uwagę wielu artystów, mianowicie ś. p Aleksander Płonczyński wygotował w pięknych widokach album kalwaryjskie (akwarelle), p. Adam Gorczyński zdjął wiele krajobrazów (obrazy olejne), wreszcie Rudolf Alt malował (akwarellą) procesję do grobu Matki Boskiéj, nakoniec ś. p. Karol Balicki robił litografowane widoki kilku znaczniejszych budowli.

Okoliczne kościoły przedstawiają najstarsze daty dopiero z 14, 15 i 16 wieku i tak najdawniejszéj w téj okolicy fundacji jest fara w Lanckoronie, bo z 14 stólecia. Zebrzydowski kościół powstał dopiero r. 1509; w Lenczach r. 1530 jest najwcześniejszą datą, w Przytkowicach 1443; w téj ostatniej wsi słynny kaznodzieja Andrzéj Radawiecki był tu proboszczem w połowie 17 wieku. Zresztą około Kalwarji niema prawie zabytków historycznych i religijnych, życie publiczne absorbował i koncentrował o 4 mile oddalony Kraków, a ofiary i pamiątki religijne łączyły się w całéj okolicy na ołtarzu Marji Kalwaryjskiéj. To więc miejsce raz jako węzeł życia okolicznego z przeszłości, a powtóre jako mieszkanie Zebrzydowskiego i widownia zawiązków rokoszu, nieprzestaje być nader ważném do wszechstronnego badania i opisu.

Kończę wykazem odpustów, o czem może przyda się komu wiedzieć, są one: od kwietniéj niedzieli do wielkiego piątku (dni 6). W Zielone Świątki (dni 3). W Boże ciało (dni 4). We Wniebowzięcie N. Panny (w Sierpniu dni 7). W narodzenie Matki Boskiéj (8 Września dni 3). Na św. Franciszka (4 Października dni 4). Oprócz zjazdów odpustowych, miasteczko Kalwarja na mocy patentu cesarza Franciszka, ma ośm dorocznie uprzywilejowanych jarmarków, t. j. 1 i 25 stycznia, 2 i 4 maja, 2 i 17 sierpnia, 4 i 19 Listopada; nadto targi odbywają się co tydzień we środę.

Kraków 17 maja 1865 r.

Józef Łepkowski.

Czarownicy w XVI wieku i ich obrońca Jan de Wier.

Liczne tłumy publiczności paryskiej zebrały sie przed niedawnemi czasy na konferencji Dra Axenfelda, w któréj uczony profesor, wykładał rzecz o czarach, czarownikach i czarownicach w XVI wieku i ich obrońcy Janie de Wier. W opowieści téj, okropności pomieszane są ze śmiesznościami, komiczność z tragicznością, smutek z wesołością, jak to zwykle bywa w życiu na tym biednym świecie naszym.

Mając przed sobą całkowity opis tego odczytu, pośpieszamy z podaniem ciekawych z niego ustępów czytelnikom Kółka.

Żaden wiek poprzedni nie odznaczył się takim rozwojem inteligencji, nie poszczycił tak gienialnemi mężami, jak wiek XVI, który wśród pomroku wieków średnich, a światłem nowożytnych, ukazuje się niby zorza polarna. A jednak ileż w tym wieku błogosławionym było jeszcze przesądów, fałszywych przekonań, fanatyzmu, zaślepienia i ciemnoty, nawet u ludzi

najoświeceńszych w owéj epoce! Zdawałoby się że wiek ten przyjął sobie za zadanie przedstawiać żywy obraz umysłu ludzkiego, pod dwoma różnemi postaciami, ukazując zarazem dwa przeciwieństwa, wzniosłość i nędzę duchową, podniesienie i upadek moralny.

„Napróżno“ powiada p. Axenfeld, „ozwał się głośny śmiech Rabelais'go, najsławniejszego myśliciela i najznakomitszego pisarza na początku owego wieku, napróżno Montaigne szyderczo się uśmiechnął w swojej filozofji sceptycznéj. Nauki z przeszłości nie zostały zapomniane, rozwijają się coraz dalej opaczne wyobrażenia poczerpnięte ze źle zrozumianéj teologji i metafizyki. Cały wiek XVI marzy obłędnie, o dobrym i złym duchu, o Ormuzie i Ahrimanie i o szatanach wcielonych. W imię Boga, a na przekór niby djabłowi, wieszają, więżą, dręczą, torturują i palą tysiące mężczyzn, starców, dzieci, a przedewszystkiem kobiety, obwiniając ich o czary, czarodziejstwo i spólnictwo ze złymi duchami, a jednak przyczyną całego nieszczęścia tych potępionych jest tylko po prostu choroba ich umysłu, obłąkanie.“

Na szczęście ludzkości i na zaszczyt dla medycyny, powstaje wówczas człowiek-lekarz, który pierwszy głośno protestuje przeciw barbarzyństwu licznych stuleci, stara się zwrócić na drogę rozumu całą społeczność zostającą w obłędzie i umie pozostawać mądrym i sprawiedliwym, wśród szaleństwa mądrych i niesprawiedliwości sprawiedliwych.

Człowiekiem tym nie był żaden wielki luminarz w nauce, lecz tylko mąż poświęcenia i wielkiego a zacnego serca. Owładnęła nim szlachetna litość, dla owej nieszczęśliwej rzeszy czarowników i czarownic, z którą towarzystwo ludzkie obchodziło się w sposób barbarzyński i niegodnie odtrącało od swego łona. Prawy ten człowiek poświęcił całe życie obronie niesłusznie prześladowanych, w nagrodę otrzymawszy od spółczesnych szyderczy przydomek *adwokata czarownic*, który za naszych czasów stanowi największy tytuł do jego sławy.

Lecz zapyta nie jeden, jaka korzyść dla nauki z wykładu historji o czarach i czarownikach w wiekach średnich?

Oto naprzód historycy nowsi nie zapominają, że w opowiadaniach o przeszłości nie należy zadawalniać się jedynie czynnościami królów, książąt, możnych i wielkich tego świata, lub opisem szczegółowym bitew stoczonych na polu walki orężnej lub w kancelarjach dyplomatycznych; znakomity historyk niezapomina również o massach ludu, o ruchu w nim umysłów, o postępie cywilizacji jego w danym czasie.

Z drugiéj strony nauka o czarach ma niezaprzeczoną ważność tak dla dziejów sztuki lekarskiej, jak i dla historji cywilizacji w ogólności. Dzisiaj wprawdzie czarownictwo i czary zniknęły bezpowrotnie, ukazując się tylko niekiedy, jako słaby odblask minionych czasów, pod postacią kuglarzy, zowiących się doktorami czarnéj i białéj magji lub profesorami fizyki nadnaturalnéj, w niewinnym celu zabawiania publiki, chcącéj w jakikolwiek sposób zabić godziny nudów. Lecz niegdyś, w niezbyt nawet odległéj od nas przeszłości, cała ludzkość prawie powstawała przeciw mniemanym czarnoksiężnikom, wypowiadając im wojnę prowadzącą aż do zupełnej zagłady i wytępienia, stokroć straszniejszą od najbardziej zabójczych epidemji lub walk orężnych najkrwawszych. Na tysiące wypada liczyć ofiary przesądów, zabobonu i ciemnoty. Skrzętna wszakże nauka zdołała wygarnąć kilka pereł z owego brudnego zgliszcza wiekowej ciemnoty. Z marzeń o alchemji, powstała chemja, najpozytywniejsza nauka naszych czasów; dzieje czarnoksiężników dostarczyły najważniejszego materjału do historji chorób umysłowych. Przeglądając owe dzieje z XVI wieku, zdaje się, że czytamy wypadki zdarzone na innym jakim planecie. Wiek ten podobny jest do jakiegoś snu ciężkiego, do zmory duszącej pozornie w nocy spokojnie śpiącego człowieka. Cały ród ludzki zdaje się być owładniętym przez jakiś szczególny częściowy obłęd umysłu. Najznakomitsi lekarze ówcześni francuscy, jak Fernel i Ambroży Paré, wierzą w magję, w czary, we wpływy szatana na człowieka. Wier nawet, acz pierwszy podniósł okrzyk zgrozy i oburzenia przeciw niegodziwym saturnaljom swojego czasu, waha się niekiedy, zdaje się czasami że umysł jego staje po stronie oprawców, gdy serce mimowolnie zwraca się ku ofiarom. Djabeł był niesłychanie potężnym w owéj opoce. Oczywisty to skutek systematu dualistycznego, w którym dwa pierwiastki stawają naprzeciw siebie, że jeden z nich bierze przewagę nad drugim, tak też i towarzystwo ludzkie w XVI wieku zapomniało o Bogu, zajmując się prawie wyłącznie djabłem. Arhiman zrucił z tronu Ormuza, albo raczej odsunął go na drugi plan. Jeden z nich posiadał cień władzy, gdy drugi rządził z pełną mocą. W taki to sposób rozwijały się zasady pogańskie, wśród świata niby chrześcijańskiego. A zasady te dziwne były i bluźniercze zarazem. Stwórca najwyższy dozwalał, wedle tychże, aby dziecię, które jeszcze nieujrzało światła dziennego, aby niewinna dziewica poświęcona służbie bożej, byli opętani przez złego ducha i to tylko za to, że ktoś niebył dość wierzącym, a społeczeństwo solidarnie związane wzajemnie musiało odpokutować za winę cudzą. Sprawiedliwość prawdziwie chińska, według któréj stracono szewca, ponieważ krawiec przewinił.

Szatan więc w owe czasy opanował wszystkich, zabawił świat cały, wesoło igrał z chłopcami i dziewczętami, z młodemi i staremi. Niegdyś najmniejsze słówko, imię święte, znak pobożny, wystarczały aby go zmusić do ucieczki. Później zdaje się nabrał pewności i śmiałości. Wchodził w kapeluszu z piórami na głowie, aż do przedsionków świątyń; był adwokatem, lekarzem, uczonym, a nawet świadkiem wiaro-

godnym, świadczył w obec trybunałów, przez usta opętanych, a wierzono mu na słowo.

Niemożna czytać bez podziwu zasad podobnéj nauki, wygłaszanéj przez uczonych ówczesnych, a podzielanych przez osobistości zajmujące ważne, a nawet najwyższe we Francji stanowisko, do jakich bez zaprzeczenia zaliczyć należy samego kardynała Richelieu'go.

Czarnoksięstwo dzieliło się na czynne i bierne. Pierwsze rozdzielano na umiejętne i na ciemne, czysto zabobonne. Typ czarnoksiężnika uczonego przedstawia nam Goethe w swoim Fauście, który jest zarazem chemikiem, fizykiem, naturalistą i filozofem, lecz wreszcie wyczerpnąwszy naukę mistrzów, zawiera pakt z djabłem, aby tylko módz dociec tajemnic nauki i tajników przyrody.

Czarnoksięstwo ciemne, ludowe, legendowe. to czarownicy w Makbecie, błąkający się wśród nocy po pustkowiach, lub siedzący w około kotła, w którym smaży się szkaradna mikstura, wytopiona z jadu żmii, palca zbrodniarza, wątroby chrześcijanina i nosa turka.

Czarnoksięstwo uczone, to czary Alberta Wielkiego, Rajmunda Lulle, Arnolda de Villeneuve, Rogera Bacon'a, ludzi genjalnych, którzy w oczach spółczesnych uchodzili za czarnoksiężników. Wprawdzie oni sami byli sprawcami takich o sobie wieści. Nie brzydzili się otaczać swą sławę aureolą cudowności, działającej silnie na wyobraźnię ludową. Arnold de Villeneuve oświadcza, że odkrył wodę palącą się. a pod tą nazwą oznacza alkohol przez się wynaleziony. Rajmund Lulle, mówi o substancji, z któréj wyskakują płomienie, przybierające postać zwierząt, wężów, smoków i t. d. Roger Bacon, wynajduje rodzaj prochu bardzo palnego, którego skład oznacza wyrazami niezrozumiałemi, dziwacznemi, wzbudzającemi podziw i przestrach.

Uczonym w wiekach średnich brakowało owéj naiwności właściwéj wynalazcom w naszych czasach, skrzętnie odsłaniających oczom widzów tajniki swego odkrycia. Uczeni średniowieczni otaczali się urokiem tajemnicy i strachu, tém łacnéij przez to uchodząc za czarowników w oczach ciemnego gminu.

Czarnoksięstwo ludowe, popularne, było sztuką niedokładnie określoną, o któréj niemożna mieć dostatecznego pojęcia, mimo wszelkich źródeł dziejowych z owego czasu. Piętnaście zbrodni zarzucano czarownikom: wyrzeczenie się wiary, bluźnierstwo, ubóstwianie szatana, zawieranie z nim przymierza, i to dwojakiego rodzaju, albo przez proste zezwolenie, albo też na piśmie, przy czém człowiek podpisywał nazwisko swoje krwią z palca lub nosa, a szatan kładł znak szpony. Prócz tego zarzucano czarownikom modły do bóstw piekielnych, do Molocha, Priapa lub Saturna. zabójstwo małych dzieci, przez wpinanie im szpilek w głowę, propagandę, przez wciąganie drugich do obrządków i tajemnic piekielnych, czczenie djabła i częste powtarzanie jego nazwiska, gotowanie rosołu z dzieci i pożywanie takowego, a w braku dzieci robienie polewki z ciał zmarłych, wygrzebanych na cmentarzu. Nadto pakt piekielny, nadawał czarownikom moc zmieniania płynów i pokarmów niewinnych w trucizny. Szatan, będący podług tych niedorzecznych wyobrażeń, małpą Pana Boga, nadawał swoim zausznikom pewną moc twórczą. Tak więc czarownice umiały robić wężów, ropuchy i inne brzydkie gady.

Wyliczone dopiéro co własności, stanowiły jedynie cząstkę zarzutów czynionych czarownikom, o wielu innych i przyzwoitość nie dozwala nam tu wspominać, na wzgląd ten wszakże obrażający uczucie moralności publicznéj, niezważali bynajmniéj poważni sędziowie trybunałów francuskich w XVI wieku.

(*d. n.*)

St. Ch.

KASKAROTKI.

Ciekawy wędrowiec zwiedzający okolice Bayonny spotyka nieraz gromadę młodych kobiet o czarnych oczach i płci śniadéj, strojnych w pąsowe spódnice, obcisłe kaftaniki i różnobarwne chustki; biegną one szybko niosąc na głowie kosze z sardynkami, które złowione w nocy, rano muszą być na targu. Kobiéty te zowią się w narzeczu miejscowém *kaskarotkami* (les cascarotes) a rzemiosłem ich jest dostawianie sardynek z Saint-Jean-de-Luz do Bayonny o pięć mil odległéj. Muszą się spieszyć, aby zniecierpliwieni wyczekiwaniem ulubionego przysmaku mieszkańcy miasta, nie postarali się o prędszą dostawę, bo jeżliby urządzono drogę pocztową lub koléj żelazną, to biedne kaskarotki które od dzieciństwa uczą się tylko pewnego rodzaju gimnastyki ułatwiającéj im szybkie bieganie i niezdatne są do innéj pracy, pozostałyby bez sposobu zarobkowania. Ruch stał się niejako wrodzoną im potrzebą, gdyż we dni nawet świąteczne zamiast odpoczywać, zabawiają się tańcem nad brzegiem morza. Zdejmują wtedy swój strój malowniczy, a natomiast przy-

wdziewają długie suknie i zwyczajne szale lub okrywki, nie mniéj przeto wdzięk ich poruszeń i śpiewy wesołe, czynią iż w tych niezgrabnie ustrojonych paniach, łatwo poznać można żwawe i zwinne kupcowe sardynek.

DOM O SIEDMIU WIEŻYCZKACH.

Powieść Amerykańska Nathaniela Hawthorne.

(*Ciąg dalszy*).

Przez resztę dnia miss Hepzibah dziwnie była niespokojną, czyniła różne przygotowania, jak gdyby oczekiwała znakomitego gościa, zaglądała często do pięknéj miniatury i wzdychała smutnie. Phœbé długo pracowała w ogrodzie, gdzie spotkała i poznajomiła się z młodym fotografem panem Holgrave. Holgrave miał przy sobie fotografję sędziego Pyncheon, która wydała jéj się wiernym odbiciem rysów starego pułkownika, złego ducha Pyncheonów, jak go zwano powszechnie. Artysta dopytywał się nawzajem czy nie widziała miniatury w którą się często wpatruje miss Hepzibah i czy nie odgaduje z rysów człowieka, którego ona przedstawia, do jakiego rodzaju zbrodni mógłby być zdolny? Phœbé zdziwiła się niepomału tak szczególném zapytaniem i poufałém obejściem młodego człowieka przy pierwszéj znajomości, nie mogła więc ukryć z początku, że niemiłe na niéj czynił wrażenie, w końcu jednak zajął ją więcéj i z zapadnięciem zmroku rozeszli się dobremi przyjaciołmi. Gdy powróciła do domu, zastała miss Hepzibah siedzącą w dużém krześle, światło lampy oblewało całą jéj postać zostawując resztę komnaty w ciemnościach, była niezmiernie wzruszoną, lecz zarazem pełną niezwykłéj tkliwości w obejściu. Gdy wyprawiając spać Phœbé, przyciskała ją do piersi, serce jéj uderzało silnie, i obojętny badacz stawiłby pewno pytanie co mogło tak nagle obudzić jéj czułość dla młodéj towarzyszki.

— Dobranoc kuzynko, rzekła Phœbé, cieszę się że mnie trochę kochać zaczynasz.

Zanim dziewczę zasnęło, słyszało wyraźnie stąpanie Hepzibah po schodach, a zarazem odgłos kroków drugiéj osoby i stłumiony szmer cichéj rozmowy.

Nazajutrz rano Phœbé zastała Hepzibah czyniącą przygotowanie do śniadania zawsze drżącą i wzruszoną.

— Nie gniewaj się kochane dziecię, mówiła, jeżeli się teraz niecierpliwię, gdybyś wiedziała jak moje serce jest przepełnione! Kocham cię bardzo i wkrótce stanę się łagodniejszą, a potém będę już zawsze, zawsze pełną słodyczy i dobroci.

— Czy niemogłabyś mi powiedzieć, co ci jest kuzynko pytała Phœbé ze współczuciem.

— Cicho, cicho już nadchodzi, odparła Hepzibah, ocierając oczy, trzeba żeby ciebie najpierw zobaczył, jesteś piękna, młoda i wesoła, on zawsze lubił uśmiechnięte twarze, ja tak stara i zapłakana, łzy mu bywały dawniej niemiłe. Zapuść trochę firankę, lecz niezakrywaj zupełnie słońca, on nigdy nielubił ciemności, biedny Clifford, a tak mało widział światła, biedny, nieszczęśliwy! Hepzibah wyszeptała raczéj te ostatnie słowa, poprawiając na stole to i owo.

Niepewne stąpanie które Phœbé słyszała w nocy, odezwało się znowu na schodach; nadchodzący gość czynił małe przestanki, jak gdyby z trudnością mu przychodziło iść daléj, zatrzymał się w końcu u drzwi i poruszył klamką, lecz zdawało się że niema siły jej obrócić. Hepzibah zadrżała i patrzała na drzwi załamawszy ręce.

— Kochana kuzynko, mówiła przestraszona jéj stanem Phœbé, czy w istocie oglądać mamy jakie nadprzyrodzone zjawisko, lękam się prawdziwie......

— Cicho dziecię, bądź wesołą, cokolwiek zajdzie...

Przystanek u drzwi tak się przedłużył, że w końcu Hepzibah otworzyła je nagle i wprowadziła do komnaty nieznajomego. Był to niemłody człowiek, w spłowiałéj jedwabnéj sukni starego kroju, o białych długich włosach zakrywających czoło. Gdy je w tył odrzucił aby spojrzeć błędnym wzrokiem do koła, ukazał martwe oblicze, ożywione zaledwie chwilowo bladym odbłyskiem inteligencji, podobnym do słabego płomienia dopalającego się ogniska. Spojrzawszy raz na przybyłego, łatwo było zrozumieć niepewność jego kroków. Niebrakło mu snać sił fizycznych aby stąpać śmieléj, tylko umysł niezdolny był wyraźnie do najmniejszego wysilenia woli. Stojąc obok Hepzibah niby dziecię prowadzone za rękę przez starszą osobę, spostrzegł Phœbé, któréj obecność ożywiała komnatę, jak blask kryształowego naczynia napełnionego kwiatami; skłonił się jéj z lekka a ukłon ten zaledwie dostrzeżony, odznaczył się jednakże niezrównanym wdziękiem.

— Kochany Cliffordzie, mówiła Hepzibah, przedstawiam ci Phœbé Pynchon, jedyną córkę Artura, przybyła tu na czas jakiś aby dom nasz rozweselić....

— Phœbé, córkę Artura, mówił powtarzając

z trudnością każden wyraz, niepamiętam... ale pozdrawiam ją uprzejmie.

. . . .

„Usiadłszy, oglądał się na wszystkie strony, jak gdyby rozpoznawać chciał miejsca dobrze znane dawniéj, wkrótce jednak uczuł się strudzony tém wysileniem i znów twarz jego obumarła. Gdy po niejakim czasie oczy gościa zabłysły promieniem zwiastującym powrót do życia duchowego, stał się bardzo podobnym do wizerunku owego pięknego mężczyzny, który Hepzibah tak często oglądała. Miał on ten sam wyraz uchwycony szczęśliwie przez malarza w chwili natchnienia, a którego śladu zatrzeć niezdołały zupełnie ani nieszczęścia, ani wiek późniejszy.“

. . . .

obliczu gościa, a jakkolwiek bardzo słaby, rozjaśnił je cudowną pięknością.“

. . . .

Czytelnik odgadł już zapewne, że ów nieznajomy był brat Hepzibah, Clifford Pyncheon posądzony o zabójstwo stryja, który ukończywszy trzydziestoletnie więzienie, powrócił do rodzinnego domu.

. . . .

„Był to przed laty człowiek stworzony niejako dla szczęścia, piękno miało być jego życiem, skupiać wszystkie pragnienia i stać się czynnikiem wszelkiego rozwoju ducha. Nie pojmował boleści, trudów walki i wszelkich zapasów ze światem, z których tylko dusze wybrane wychodzić umieją zwycięzko; cierpienie złamało go i zużyło. Hepzibah ubóstwiała



Kaskarotki, (kopja z obrazu p. Loubon umieszczonego na wystawie paryzkiéj).

„Spojrzawszy przypadkowo na Hepzibah, odwrócił oczy z niezadowoleniem i szeptał po cichu:

— Więc to jest Hepzibah? lecz jakże zmieniona, mój Boże! czyżby gniewała się na mnie że tak brwi ściąga?

Biedna Hepzibah! wzrok krótki i nieszczęścia sprawiły jéj przykre wykrzywienie twarzy; dosłyszawszy jednak tę uwagę, zmieniła się nagle i wypiękniała prawie wyrazem tkliwego smutku.

Jażbym się gniewać miała na ciebie Cliffordzie? ja! rzekła głosem tak słodkim jak melodyjne tony wywołane ręką biegłego artysty, wszak pragnę cię jedynie otoczyć miłością!.

Na te słowa cień uśmiechu zabłysł znów na

brata, i tém mocniéj bolała nad jego losem im mniéj znosić go był zdolny.“

. . . .

Stary sędzia Jaffrey Pyncheon był przedmiotem wstrętu całéj rodziny. Hepzibah nie chciała nigdy przyjąć wsparcia jakie jéj ofiarował; Cliford drzał na widok portretu pułkownika, który był wiernym jego obrazem, a i na Phœbé nie mniéj przykre czynił wrażenie gdy go poznała, pomimo słodkiego i uśmiechniętego wyrazu oblicza jaki w obecniéj przybierał. Pewną razą była świadkiem rozmowy jego z miss Hepzibah, skoro wkrótce po przybyciu Clifforda przyszedł aby go odwiedzić i znów pomoc swą ofiarować. Hepzibah nie dopuściła go do brata, mówiąc, że ten nie zniósłby widoku obcego człowieka. Jaffrey Pyncheon wybuchł

wtedy srogim gniewem i ledwie uspokoić się zdołał na widok przestrachu Phœbé.

„Przybrawszy zwykły sobie łagodny i uprzejmy wyraz, pożegnał potém z uśmiechem obie kobiety, jak gdyby żadne nieporozumienie niezaszło i zawsze równie uśmiechnięty wyszedł na ulicę. Uśmiechem tym, pełnym dobroci, obyczajem niektórych bogaczy pragnących posiąść wysokie urzęda w rzeczypospolitéj, uniewinniał się niejako przed tłumem ze swych dostatków i przewagi. Dobroduszna serdeczność w obec tych ponad którémi wynieść się pragnął, wyzyskiwała mu ich poszanowanie i względy łacniéj, niż gdyby dwudziestu czterech niewolników torowało mu drogę pomiędzy niemi. Zaledwie znikł w zakącie ulicy, Hepzibah zbladła i pochyliła skronie na ramieniu Phœbé.

— O! dziecię moje drogie, rzekła zcicha, nie nawidzę tego człowieka lecz czy kiedykolwiek znajdę potrzebną odwagę aby mu powiedzieć to co o nim myślę?

— Byłżeby on tak złym w istocie?

— O! tak, on ma kamienne serce! idź teraz pomówić trochę z Cliffordem, ja tu pozostać muszę aby się uspokoić, nie mogę mu się pokazywać w takiém wzruszeniu, lecz ty idź i rozerwij go trochę.

Phœbé odeszła zaciekawiona bardzo tém co usłyszała. Pierwszy raz w życiu zadawała sobie pytanie, czy rzeczywiście ludzie wysoko postawieni w hierarhji społeczeństwa, jak sędziowie, duchowni i t. p. mogą chociażby wyjątkowo niebyć sprawiedliwemi. Wątpliwość podobna, zwłaszcza jeżeli się w pewność zamieni, wywiera wpływ burzący na cały ład myśli u istot nawykłych do poszanowania prawa, jak nasza młoda wieśniaczka. Przeciwnie dla dusz odważnych, dla niektórych śmiałych myślicieli, jest pewna gorzka pociecha w tém, że skoro złe istnieje koniecznie na świecie, napotkać je można zarówno pomiędzy wyższą warstwą społeczeństwa, jak pomiędzy proletarjatem. W ogóle bowiem miło jest widzieć jasno, że urodzenie i położenie towarzyskie jest niczem, jeżeli się na nie zapatrywać chcemy, jako na przymiot mający uzacnić i podnieść człowieka.“

. . . .

Hepzibah mimo niektórych śmiesznych urojeń, była prawdziwie szlachetną i wyższą istotą, rozwiniętą moralnie przez boleść i obdarzoną najwyższą siłą poświęcenia. Przez długie lata marzyła o położeniu w którém znajdowała się obecnie, prosząc Boga o możność otoczenia staraniami brata, który był jedynym przedmiotem jéj miłości. To téż gdy Clifford powrócił zestarzały i przygnębiony dziwnego rodzaju nieszczęściem, pięknie było patrzéć jak czułością swą, niby płaszczem dobroczynnym, chciała go osłonić przed troską i nudą.

Phœbé była jéj najwięcéj pomocną w tych staraniach, Clifford czuł się przy niéj jakby odmłodzonym i bywały chwile, że twarz jego jaśniała znów pięknością i zacierały się na niéj zmarszczki, owe hieroglify wyrażające nieszczęście; wzrok kochający mógł w nim odnaleść wówczas cień dawnego człowieka, którego Opatrzność obdarzyła tak hojnie, zanim ludzie zniszczyli powoli jéj dzieło.

. . . .

„Phœbé wyobrażała życie rodzinne w najpowabniejszych jego objawach, owe życie do którego tęschni zarówno wygnaniec, więzień i panujący, trzej nieszczęśliwi, z których pierwszy otoczony obojętnością, drugi odosobniony od ludzi, a trzeci po nad nich wywyższony. Młoda wieśniaczka posiadała urok wdzięcznéj i lubéj rzeczywistości, czyniący częstokroć jéj obecność wielce miłą, nawet dla tych którym nie dorównywała pod względem wyższości umysłu. Patrząc na nią, tłomaczyć sobie można było pewną tajemniczą anomalję. Stawiano już nieraz pytanie, czemu poeci wybierają zwykle za towarzyszki życia nieodpowiednie sobie istoty, kobiety mogące uszczęśliwić raczéj zwyczajnych ludzi. Otóż przypuścić należy, że przebywając zwykle w sferach idealnych, gdzie niepotrzebują towarzyszy, czują potrzebę zstąpiwszy z tych wyżyn, przemówić po ziemsku, słowem, pochwycić niejako utraconą chwilowo rzeczywistość.

. . . .

Gdyby nie starania Phœbé, Clifford byłby nieustannie pogrążony w letargu, który go opanowywał, skoro tylko sam pozostał. Nieraz wyprowadzała go do ogrodu, urządzonego już trochę przez nią przy pomocy Holgrava, tam gdy siedział dumając spokojnie czytała mu wybrane dla niego książki, lub bawiła rozmową. Skoro zdarzyło się że opowieść jaka łzami zwilżyła oczy młodéj dziewczyny, Clifford okazywał oznaki nieukontentowania, myśląc zapewne, że dość w świecie rzeczywistych boleści aby się trapić urojonemi. Co niedziela Hepzibah, wolna od zatrudnień sklepowych, zasiadała w ogrodzie wraz z bratem i Phœbé, przyłączał się do nich także wtedy Holgrave i pewien wesoły staruszek rodzaj filozofa, ulicznego zwany *wujem* Venner. Wszyscy starali się rozerwać jedni drugich. Holgrave niejednokrotnie chciał się wdawać w dłuższą rozmowę z Cliffordem i rzucał na niego często badawcze spojrzenia, które wprowadzić mogły na domysł, że artysta jest względem niego pod wpływami jakiejś tajemniczéj ciekawości.

Przy troskliwéj opiece siostry i jéj przyjaciół, Clifford dawał niekiedy oznaki większego ożywienia i zajęcia tém co go otaczało; raz n. p. patrząc na zachodzące słońce, wołać począł żałośnie, że jego szczęście znika, inną znów razą chciał się rzucić oknem pomiędzy tłumy rzemieślników idące w processji z chorągwiami.

Pewien jestem, rzekł potém do siostry i do Phœbé, które go ledwo utrzymały, że zaszła by we mnie dziwna zmiana po tym skoku. I być może że mówił prawdę, bo jeśliby się nieodrodził zanurzywszy w żywych falach ludzkich, to pewno znalazłby zapomnienie w oceanie śmierci.

. . . .

„Pewnego pięknego niedzielnego poranku gdy niebo zdawało się uśmiechać do ziemi, zadowolone hołdem który mu składała, a dzwony kościelne rozmawiały z sobą, wróżnych tonach roznoszonych w powietrzu jak woń kadzideł, Phœbé w świątecznym stroju wyszła do kościoła, a Clifford zapytał siostry czyby się tam z nim również udać nie chciała? Hepzibah pochwyciła skwapliwie sposobność wyprowadzenia go na świat, zaledwie jednak uszli kilka kroków, odwykłym od widoku ludzi zabrakło odwagi do dalszéj przechadzki.

— Niepodobna nam iść daléj, niepodobna rzekł Clifford, nasze miejsce nie wpośród świata, musimy żyć i umierać w tych murach ponad któremi cięży od wieków uroczyste przekleństwo! Drzwi dobrowolnego więzienia zamknęły się znów za niemi, jakgdyby im na żart tylko uchyliła je ręka niewidzialnego strażnika. I nie dziw—bo czyż człowiek może mieć warowniejsze więzienie nad własne serce, skoro w niém zalega myśl ponura i więcéj bacznego wówczas stróża nad własną wolę?“

. . . .

„Starania około nieszczęśliwych krewnych nie zabierały wszystkiego czasu Phœbé, znajdowała zawsze wolną chwilę aby pomówić z Holgrave'm, w którym z czasem dopatrzyła wiele rzeczywistych przymiotów. Młody fotograf przechodził już różne życia koleje, probował wielu zawodów aby zarobić na chleb powszedni, widocznem jednak było w każdym jego postępku, że nie zboczył nigdy z wytkniętéj sobie drogi szlachetności. Zajęcie jakie okazywał młodéj dziewczynie niemiało najmniejszego pozoru tkliwszego uczucia, gdyż przebywał równie chętnie z Hepzibah i z Cliffordem. Pewną razą wypytywał jak za zwyczaj o nawyknienia tego ostatniego.

— Niepojmuję czemu Clifford tak bardzo was zajmuje, odparła zdziwiona Phœbé.

— O, tak bardzo znów nie, ale żyjemy w świecie trudnym do pojęcia, niemożna odgadnąć czém człowiek był pierwéj, po tém czém jest dzisiaj i to zawsze zaciekawia... Clifford n. p. i sędzia Pyncheon czyż nie są zagadkami, ktore jedynie domyślność młodéj dziewczyny rozwiązać może, co do mnie który domyślnością się niemogę pochwalić, pewien jestem iż zbłądzę chcąc je odgadnąć.

Rozmowa przybrała późniéj odmienny kierunek. Holgrave mimo doświadczenia życia nie stracił pięknego usposobienia młodości, upatrywania w świecie właściwych sobie przymiotów. Sądził tego zgrzybiałego starca z siwą brodą, łatwym do skierowania ku cnocie jak nowo narodzone dziecię. Było to może prorocze przeczucie serca, przeczucie bez którego nie warto się urodzić, również jak żyć nie warto straciwszy je. Jakże bowiem przenieść myśl, że skazani jesteśmy aby stąpać wiecznie po staréj drodze złego bez nadziei poprawy? Uchowaj więc Boże abyśmy potępiać mieli naiwne przekonania naszego artysty, témbardziéj że pod pewnym względem były one słuszne, mylił się tylko sądząc, że wiek teraźniejszy wybrany został aby być świadkiem raptownéj zamiany starych łachmanów na suknię nowego kroju, zamiast się nią pokrywać zwolna rzucając po cząstce odzież podartą. Mylił się także myśląc, że ta długa przemiana nastąpi podczas jego krótkiego życia i że potrafi na nią wpłynąć skutecznie. W każdym razie, wiara ta przyczyniała się do jego moralnego udoskonalenia, należało bowiem sądzić, że z czasem gdy nieuchronne doświadczenie osłabi pierwotną żywość przekonań, treść ich niezatartą pozostanie w sercu. Pełen szlachetnéj dumy, któréj podnietą była może chęć wyrobienia sobie stanowiska w świecie, z tém wspaniałomyślném pragnieniem dobra ludzkości i głęboką pogardą wszystkiego, co w tym celu uczyniły przeszłe wieki z niejasnemi filozoficznemi pojęciami, słowem ze wszystkiemi przymiotami i niedoskonałościami swemi Holgrawe był typem ówczesnych młodych ludzi. Jakkolwiek wróżył sobie powodzenie w świecie, odgadnąć było trudno czy je uzyska, często bowiem napotykamy w różnych warstwach społeczeństwa istoty wiele obiecujące, o których późniéj nic nie słyszymy; porównać by je należało do owych leciuchnych tkanek co połysk i świetne kolory tracą na piérwszym deszczu lub słońcu.“

. . . .

— „Czy słyszałaś pani historję zajścia dziada twego z czarownikiem Mauel'em? zapytał po chwili Phœbé.

— Słyszałam niejednokrotnie, lecz ty panie Holgrave powiedz mi czy podzielasz przekonanie, jakoby wszystkie nieszczęścia Pyncheonów pochodziły od owego czasu?

— Wierzę temu jako rzeczy dowiedzionéj przez fakta mogące być podstawą pewnéj teorji. Pod dachem gdzie pułkownik zamyślał osadzić swych szczęśliwych dziedziców, od owéj chwili aż do dnia dzisiejszego, zamieszkują wyrzuty sumienia, zawiedzione nadzieje, niezgody pomiędzy bliskiemi, nędza wszelkiego rodzaju, śmierć dziwna i nagła, hańba wreście.... a powodem do tego jest zamiar wyniesienia swéj rodziny przez bogactwo nabyte kosztem sumienia. Pułkownik Pyncheon stał się niejako złym duchem swych potomków, w których odżył nieraz podobnie jak dzisiaj w osobie sędziego będącéj wiernem powtórzeniem jeżeli nie charakteru, to rysów pradziada.

— Ach! z jakąż pewnością mówicie to wszystko, aż strach mi prawdziwie.

Artysta rozśmiał się, późniéj mówił jeszcze że przelał na papier myśl, wyrażoną wyżéj tak mu utkwiła w pamięci, gdy zaś Phœbé oświadczyła, że chętnie posłucha jego powiastki, dobył rękopismu i przy ostatnim blasku

słońca ozłacającego siedm wieżyczek, czytał co następuje:

Legenda o Alicji.

„Szlachetny Gerwazy Pyncheon zawezwał pewną razą Mathew'sa Maule młodego cieślę, aby przybył natychmiast do domu o siedmiu wieżyczkach.

— Czegóż twój pan żąda odemnie? zapytał tenże murzyna który po niego przyszedł. Czy dom potrzebuje naprawy? Nic by nie było w tém dziwnego, bo z daty nagrobku starego pułkownika którą czytałem zeszłéj niedzieli, wnoszę że już trzydzieści siedm lat mija jak mój ojciec go zbudował.

— Niewiem czego pan chce, w domu nic nie braknie. Jest w tém wszystkiém coś co dotyczy pułkownika Pyncheon, który nie darmo ciągle straszy biédnych ludzi.

— Dobrze Scypionie mój przyjacielu, powiedz panu że przyjdę, odparł śmiejąc się głośno cieśla. Jeżeli potrzebuje rzemieślnika sumiennego do swéj sprawy, jestem na jego usługi. Powiadasz więc że duchy was straszą? no trudno abym ich wypędzał, nie uczynię tego zresztą, dodał ciszéj, bo gdyby nawet pułkownik się uspokoił, to mój dziadek czarownik nie opuści Pyncheonów dopóki ściany ich domu stać będą.

— Co tam mruczysz po cichu Mathew'sie Maule i czemu na mnie poglądasz tak ponuro.

— Spojrzenie to nie więcéj ponure od koloru twéj skóry. Zapowiedz więc bytność moją twemu panu, a jeżeli spotkasz córkę jego miss Alicję, oświadcz jéj również moje uszanowanie. Powróciła z Włoch bardzo piękną, jéj jasna główka jest zarazem pełną wyrazu słodyczy i dumy. Powiedz jéj to odemnie jeżeli chcesz.

— On mówi o miss Alicji, myślał Scypion powracając do domu, prosty cieśla! co za śmiałość!

Musimy tu nadmienić że w ogóle Mathew Maule nie był lubiony w mieście, jakkolwiek nic mu nie miano do zarzucenia. Być może że tę niechęć odziedziczył po przodkach swoich, równie jak i niektóre dziwne ich nawyknienia. Był on wnukiem Mathew Maule'a jednego z pierwszych kolonistów miasta, sławnego w swym czasie czarownika Ten stary potępieniec skończył na szubienicy w chwilach, gdy miejscowe władze odznaczały się chwalebną gorliwością w nieustannéj walce z wielkim nieprzyjacielem dusz ludzkich, wyprawiając mu z kolei jego pomocników. Od owego czasu to dobre dzieło straciło na swéj mocy przez zbyt częste wykonanie, nie mniéj jednak przesądny strach otaczał pamięć ukaranych za zbrodnię czarów. Mówiono że groby ich umieszczone zazwyczaj w rozpadlinach skał gdzie wznoszono szubienice, nie zbyt wiernie przechowywały zwłoki powierzone im zbyt pośpiesznie. Stary Mathew Maule n. p. miał powstawać z grobu jak zwyczajny człowiek z łóżka i przechadzać się o północy tak często, jak żyjący ludzie w dzień biały. Mówiono, że ów czarownik (nienawrócony jak się zdaje wymierzoną mu karą), odwiedzał dom o siedmiu wieżyczkach z właścicielami którego miał pewne zatargi. Pośmiertny włóczęga wymagał podobno aby mu płacili daninę od czasu gdy dom swój budować zaczęli, lub tenże całkiem na własność jego oddali. Inaczéj widmo - dłużnik obiecywał wtrącać się do wszystkich czynności Pyncheonów i choćby w tysiąc lat po swéj śmierci psoty im wyrządzać. Obecnie wnuk jego Mathew Maule, bohater naszego opowiadania, uchodził w oczach ludzi za dziedzica niektórych podejrzanych przymiotów dziada. Mówiono o osobach oczarowanych przez *oko Maule'a* posiadające władzę czytania w myśli drugich i t. p. rzeczy z których najpewniejsza jest ta, że żył niezmiernie odosobniony, a następnie że posądzano go o herezję w rzeczach religijnych zarówno jak w opinjach politycznych.

. . . .

Gerwazy Pyncheon, wnuk ulubiony zmarłego pułkownika, był obecnie dziedzicem domu o siedmiu wieżyczkach, powiadano jednak że bardzo nie lubił swego mieszkania skutkiem wstrząśnienia moralnego jakiego tam doznał w dzieciństwie, gdy przybiegłszy najpierwszy do dziadka ujrzał go nieżywym. Skoro dorósł wyjechał do Anglji gdzie zamieszkał długo, ożeniwszy się z młodą i bogatą osobą. Pod ten czas oddał pod zarząd innym krewnym dom o siedmiu wieżyczkach, z obowiązkiem ponoszenia kosztów naprawy. To zobowiązanie spełnione zostało tak sumiennie, że dom wyglądał świéżo i czysto jak gdyby dopiéro zbudowany.

. . . .

Mathew Maule patrząc na tę piękną i poważną budowę, wspomniał z goryczą, że grunt na którym się wznosi, był własnością krwawo zapracowaną przez jego rodzinę, że chata która tu stała nad strumieniem, była chatką jego dziada, że ojciec jego tu się urodził.... to téż pochwyciwszy młot żelazny uderzył nim tak silnie, jak gdyby drzwi skruszyć pragnął.

. . . .

— Prowadź mię do twego pana, rzekł głosem surowym do zdziwionego Scypiona, który mu otworzyć pospieszył.

W chwili gdy przestępował próg domu, słodka i tęskna melodja spływała do ziemi z górnego piętra.

(*d. c. n.*)

Dodatek do Zeszytu XX. Kółka Domowego.



O czesaniu włosów.

Moda zaczesywania włosów krótko z tyłu, a z przodu płasko, stanowczo się utrzymała w Paryżu. Zaraz z początkiem roku, zaczęto się już tak czesać, lecz mało było osób dość odważnych, aby po tylu latach spuszczania włosów na kark, wyrzec się w prędce tego ulubionego zwyczaju. Zdawało się że uczesanie krótkie może być dobre tylko na wieczory, teatra i t. p. tymczasem wiele już pań czesze się tak pod kapelusz i znajduje to ładném, a co większa bardzo dogodném.

Do przystrajania główn, najwięcéj są używane przepaski z aksamitu, złota lub srebra z takiemiż grzebieniami; kwiaty podobnież w przepaski się układają. Grzebienie (*a chignons*), szyldkretowe, złote lub srebrne do czesań *a l' empire* używają duże, do czesań greckich przepaski i stosowne do tychże grzebienie, mniejsze od poprzednich.

Do następnych numerów dołączę więcéj wzorów czesań wraz z opisem, jak również, rysunki obecnie używanych koków, loków i t. p. przedmiotów, do ubrania głowy, których znaczny wybór, nadejdzie mi z Paryża

Aleksander Koch

O UBIORACH.

Pani Włodkowska powróciwszy obecnie z Paryża gdzie czas jakiś bawiła dla zaopatrzenia magazynu swego w przedmioty stroju oraz powzięcia dokładnych wiadomości o modach, udzieliła nam wiadomości, że krynoliny które korespondentka nasza z Paryża uznała za wygnane prawie z ubiorów tamecznych elegantek, jeszcze cieszą się powodzeniem. Nie są one wprawdzie tak olbrzymich rozmiarów jak dawniéj, nie mniéj przeto jednak używane powszechnie z przyczyny, że nie dadzą się zupełnie zastąpić innego rodzaju spódniczkami. Aby więc uniknąć przesady a zarazem stosować się do mody, na niewielką krynolinę wkłada się po parę spódnic perkalowych mocno skrochmalonych, które poruszając suknią nie nadają jéj

téj sztywności co duża krynolina. W kroju sukien żadne nie zaszły zmiany; spódnice zawsze przedłużone z tyłu tworzą rodzaj wachlarza. Częstokroć u sukni jedwabnéj gładkiéj daje się od kolan do dołu przód z takiego koloru materji lecz w pasy, zaokrąglony z boków i oddzielony od reszty spódnicy ruszą z materji. Wystrój rękawów u góry i u ręki z tejże materji co przód wstawiony. Pasy calowéj szerokości dominują w materjałach na suknie nad innego rodzaju desenie. Widzieliśmy u pana Włodkowskiego materje jedwabne na tle białém lub ciemném w takież pasy w różnych kolorach, oraz popeliny wełniane przerabiane jedwabiem w atłasowe pasy w tym kolorze co tło. Suknie takie nawet wełniane wyglądają nader świetnie i mogą służyć do strojniejszego ubrania. Najnowszym wyrobem na suknie wełniane jest *draps écossais* we dwóch kolorach, najładniejsze na tle *orange* nitki czarne ukośno idące. Do nowszych wyrobów należy także *reps croisé* w różnych kolorach. Mówił nam pan Włodkowski że obecnie wszystkie magazyny paryzkie założone angielskim supełkowym materjałem klikerboker, który i u nas od zeszłego roku już w użyciu, nosi się bardzo dobrze. Pan Włodkowski oprócz wyżéj wymienionych materjałów sprowadził następujące: białe muśliny haftowane w groszki włóczką *cérise*, zieloną i błękitną na suknie na wzór tarlatanów dawniejszych w tymże rodzaju, z tą tylko różnicą że daleko trwalsze bo się dobrze piorą; suknia taka kosztuje rs. 13. Daléj oglądałyśmy z rzeczy tańszych: fulary wełniane, alpagi i kretony w różnych kolorach, z których suknia po rs. 12 i 13 wypada. Ciepłe flanelki na tle białém w pasy, prążki i groszki różnobarwne na kaftaniki wcięte lub puszczane do pokoju. Kaftanik taki ładnie odrobiony, strojny stosownie dobranemi guzikami, od ośmiu do dwunastu rubli kosztować będzie. Paletociki barankowe popielate *marron* lub czarne po rs. 20, do trzydziestu kilku, także wcięte lub puszczane z dużemi jak talary ładnemi i oryginalnemi guzikami. Paletocik *marron* np. miał na każdym guziku jeźdźca na koniu, na innych znów były krzyże lub obwódki metalowe przy tle odmiennego koloru. W magazynie pani Włodkowskiéj oglądałyśmy opaski kolorowe aksamitne z kokardką bez końców u przodu, po rs. 1 sztuka, (noszą się zwykle dwie) do przystrojenia głowy w podobny sposób jak wskazują ryciny dane obecnie na drzeworytach naszych. Osoby młode mogą wprost przewiązać włosy wstążeczką koloru do upodobania z kokardką na przodzie. Modne są bardzo takież wstążeczki (długość trzy łokcie) na szyję: długie ich końce spadają na plecy od kokardki związanéj z tyłu, na przodzie zaś zawiesza się krótko medaljon, krzyżyk złoty, lub inne tego rodzaju wieszadełko. Opiszemy po krótce czytelniczkom naszym, ładne i zgrabne kapelusiki, które oglądałyśmy w tymże magazynie w cenie od rs. 12 do 15. Wszystkie fasonu *empire* już poprzednio opisanego. Kapelusz aksamitny *marron* miał główkę ustrojoną woaletką grenadinową tegoż koloru z jednym końcem spadającym z boku, przepiętą różową różą i podpięcie z tymże kwiatem. Aksamitny błękitny strojny długiemi czarnemi aksamitkami i chusteczką takąż objętą frendzelką kryształową podpinała blado-cielista niby biała róża. *Velours épinglé* błękitny miał główkę otwartą strojną welonikiem białym koronkowym i pączkiem róży z liśćmi, u podpięcia podobnież kilka pączków. Fioletowy aksamitny, główka otwarta ubrana czarną koronką i lawą. Czarny aksamitny z takiemiż szarfami strojny pękiem białych dużych rumianków, podpięty rumiankami i do koła rondka otoczony gipiurą *de Cluny*. Błękitny aksamitny strojny srebrnemi sznurami i marabutami białemi z białemi atłasowemi szarfami. Karmazynowy aksamitny z główką przystrojoną czarną woaletką i aksamitnemi karmazynowemi kwiatami, które również tworzyły podpięcie. Uważaliśmy, że w ogóle najwięcéj wszystkie kapelusze miały ubrane główki, a sposób

przystrajania ich welonikami, wydał nam się pełen wdzięku. Woaletki grenadinowe tego koloru co kapelusz szczególniéj ładnie wyglądały.

Kilka słów o pielęgnowaniu roślin w pokojach.

Rośliny pielęgnowane w pokojach, potrzeba koniecznie podzielić na dwie części, chcąc aby odpowiedziały swojemu celowi: to jest rośliny oranżeryjne, czyli sfer zimniejszych i cieplarniowe czyli sfer ciepłych, gdyż jak jedne tak i drugie, wymagają w hodowaniu odpowiedniego zastosowania i tak np. rośliny oranżeryjne, jak kamelia, azalea, rhododendron, oleander, erica, także pelargonie, fuksje i t. p. wymagają aby miejsce, w któróm stać mają, było o ile można widne, zwrócone ku południowi, jak najwięcéj miało powietrza świeżego i aby temperatura szczególniéj w porze zimowéj, nie była zbyt wysoką, gdyż rośliny tego rodzaju zwykle w téj porze, odpoczywają, a przez ciepło, forsują się, później nędznieją, dostają właściwych sobie, mszyc i weszek, a w końcu po większéj części giną. Rośliny zaś cieplarniowe, jak np fikus, dracena, musa, maranta, begonia i t. p. nie wymagają koniecznie tyle światła, mogą stać w miejscach nawet takich gdzie słońce nie dochodzi; ale wymagają więcéj daleko ciepła i mniéj powietrza. Rośliny także sfer ciepłych, jako to kaktusy, chcąc aby kwitły szczególniéj w porze letniéj, powinny być wystawione na jak największą operację słońca. Wszystkie rośliny, prócz tego co się powiedziało, wiele jeszcze warunków wymagają; powinny być przynajmniéj raz na rok przesadzone i to w stosowną ziemię, np. kamelję, azalea, rhododendron i t. p. potrzebują ziemi pulchnéj złożonéj z części spróchniałych chudych roślin, czyli tak zwanéj wrzosową, z dodaniem do niéj, jeśli jest zbyt lekką, trochę darniowéj i piasku grubego; nie znoszą ziemi gnojowéj. Oleander, pelargonia, fuksja, wymagają ziemi pożywnéj, jako też fikus, dracena, musa, maranta i t. p. Przesadzając potrzeba dać stosowny wazon do wzrostu i korzeni rośliny; nie uważać na to, aby zawsze dać większy od tego w którym roślina była, gdyż jeżeli roślina zdrowa i bujnie rośnie to nie zaszkodzi większy; ale jeżeli roślina słaba i korzenie popsute, to jeżeli nie ten sam, po odjęciu korzeni zepsutych i ziemi, to nawet mniejszy; gdyż jak roślinie zdrowéj jest dogodnym większy wazon, tak przeciwnie słabą zabija, bo jeżeli roślina nie zużywa téj ziemi jaka jéj dana, w takim razie ta ziemia zakwasza się i korzenie gniją. Polewanie roślin jest najważniejszém: nigdy nie uważać na czas ale na potrzebę. Roślina powinna się wtenczas podlać kiedy ziemia pokazuje się suchawą, podlać tyle aby ziemia przesiąkła aż do dna doniczki; bo jak zasuszenie, tak też i zbyteczna wilgoć szkodzi roślinom. Wstawianie niektórych roślin z doniczkami w wodę jak np. oleandra, jest dobrém szczególniéj w czasie kwitnienia, ale tylko w takim razie jeżeli jest doniczka mniejsza jak być powinna, zapełniona korzeniami i nie może zawierać tyle wilgoci, co roślina wymaga, w przeciwnym razie, zamiast pomódz, zabija się rośliny. Przytém należy chronić je od kurzu i zanieczyszczenia, a jeżeli ulegną temu, lekko miękką szczoteczką, lub gąbką, oczyszczać. Chronić także od zbytecznych promieni słońca; dobrze jest w takim razie jeżeli będą wystawione na jego działanie w godzinach południo-

wych, zacieniać je, jako też bardzo pomocném rano i wieczór skrapiać wodą.

J. Poznański.
Ogrodnik z zakładu braci Hozer.

Opisanie ryciny mód.

Ubiory dziecinne.

Nr. 1. Sukienka biała muślinowa lub wełniana ze wszywkami podwlekanemi niebieską wstążeczką.

Nr. 2. Suknia ze stanikiem z alpagi popielatéj z wystrojem cerise, kapelusik biały pilśniowy *feutre* podobnież przystrojouy.

Nr. 3. Całe ubranie i buciki z błękitnego kaszmiru.

Nr. 4. Suknia szkocka w kraty, paletocik popielaty korcikowy.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Mizerja zimowa.

Pokrajane w talerzyki *świeżo zerwane* ogórki, zalać w słoju mocnym octem przegotowanym, z cebulą i solą. Gdy się słój dopełni, po wierzchu nalać na 3 cale grubo oliwy i pęcherzem owiązać. W zimie podaje się taką mizerję (wymoczywszy ją pierwéj parę godzin w wodzie) z sosem musztardowym lub kwaśną śmietaną.

Bekasy marynowane na zimę.

Oczyszczone ptaszki opiekać na rożnie obficie polewając masłem, opieczone ostudzić w lodowni, potem maczać w maśle rozpuszczoném (do 1 g. masła, można brać 1 kw. świeżego baraniego łoju) gdy już ta powłoka tłuszczu zastygnie układać w słoju z bobkowym liściem, nalać octu z solą i pieprzem przegotowanym i owiązawszy pęcherzem w zimnie postawić.

Żydowskie obwarzanki.

½ g. mąki, łyżkę drożdży, ciepłéj osolonéj wody ile trzeba aby ciasto zamięsić. Wyrabiać obwarzanki, spuszczać na wrzącą wodę, jak spłyną układać na wiosełku i piec przed żywym płomieniem, posypawszy grubo tłuczoną solą lub kminkiem.

Rydze na konserwę.

W świeżém maśle usmażyć rydze i w dębowéj układać faseczce, uważając, aby na dnie i pomiędzy jedną a drugą rydzów warstwą było najmniéj na palec masła, w którém się smażyły. Układać trzeba rydze tak jak rosną. W zimie odegrzane doskonałe i wykwintne podanie na jarzynę stanowią.



...riflocq Editeur. 318. Imp. Becquet, Paris

KÓŁKO DOMOWE

Miesiąc Listopad.

1865.